

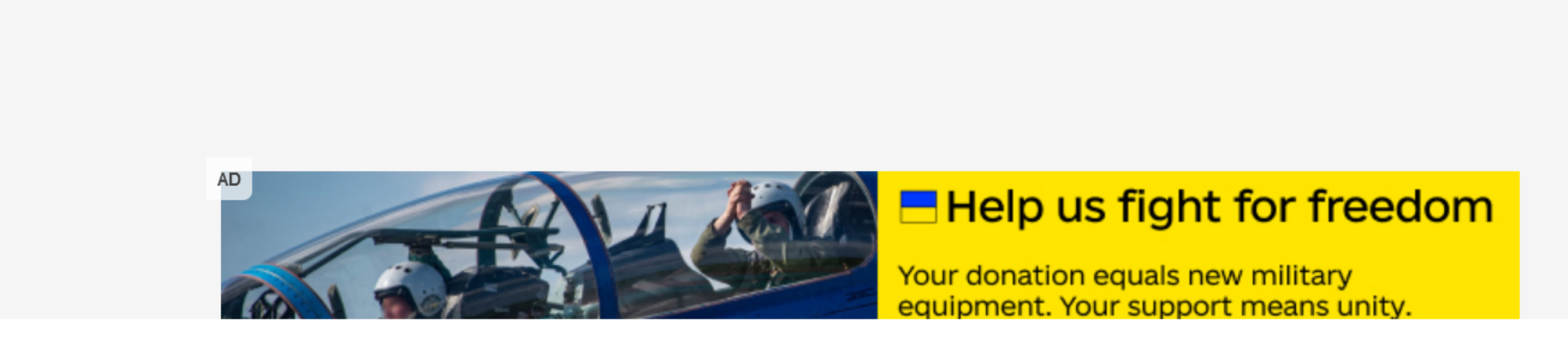
Wszędzie rozpacz. O "Krum" w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej

Marta Odziomek 1 listopada 2021 | 11:30



"Krum" w rez. Małgorzaty Warsickiej w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej (Fot. Dorota Koperska)

Małgorzata Warsicka powróciła do Teatru Polskiego w Bielsku-Białej spektaklem "Krum", który - podobnie jak jej "Mistrz i Małgorzata" tam zrealizowany - jest pełen dźwięków, rozzarowanych życiem ludzi i fantasmagorycznych obrazów.



Krum, bohater sztuki izraelskiego pisarza Hanocha Levina, to człowiek, który nie chce zwyczajności. Pragnie czegoś więcej, choć sam nie wie, czym owo "więcej" miałoby być. Małżeństwem z dziewczyną, którą kiedyś kochał? Romansem z piękną kobietą, dla której nagle traci głowę? Publikacją własnej książki, której jednak jeszcze nawet nie zaczął pisać?

"Krum" w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej: Wszyscy pragniemy kochać

Wie jedno - podróże, wyjazdy, zagranica, to nie jest to. Właśnie wrócił do miasteczka, z którego kiedyś wyruszył w świat. Poznajemy go w tym momencie życia, przyjechał, już jest, wita się z bliskimi odziany w wielką, jaskrawą kurtkę i z twarzą bez uśmiechu, za to z jakąś ulgą na niej wymalowaną. Nie powiodło mu się tam - w wielkim świecie, więc produkuje kolejne scenariusze na swoje życie tu - na miejscu. Na życie, które różniłoby się od życia innych. W rezultacie stoi ono w miejscu, kiedy jego rodzina i znajomi albo zakładają rodziny i się rozmnażają, albo umierają, ewentualnie wyjeżdżają.

Inscenizacja Małgorzaty Warsickiej jest polifoniczna. I to na kilka sposobów. Polifonię słychać, bo nie dość, że warstwa muzyczna tego dzieła jest mocno rozbudowana, to w dodatku przyprawiające o gęsią skórę dźwięki dobiegają do naszych uszu z wielu stron. Polifonię też widać, bo na tę opowieść o pewnej społeczności składa się mnóstwo osobnych życiorysów. Wielogłosowość wyraża się też poprzez idee serwowane przez kolejnych bohaterów - ten żyje, jakby jutro miał umrzeć, tamta zaś, jakby śmierci wcale nie było.



"Krum" w rez. Małgorzaty Warsickiej w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej Fot. Dorota Koperska

Dobrze jest sobie przypomnieć, jak przenikliwe i błyskotliwe są sztuki Levina, które jeszcze jakąś dekadę wstecz cieszyły się na polskich scenach wielką popularnością. Mnóstwo w nich celnych obserwacji ludzkiej natury, refleksji, ripost. Trochę komedii, dużo tragedii, która jednak zbytnio nas nie razi, bo jest przecież naszą codziennością. Wszyscy pragniemy kochać i być kochani, być zdrowi, cieszyć się długim życiem, odnosić sukcesy, widzieć sens w codzienności. Levin opowiada właśnie o tych naszych zwyczajnych pragnieniach, które jednak nie są przez jego bohaterów realizowane. A jeśli są, to tylko chwilowo, bo zaraz coś pójdzie nie tak. Przyszły mąż zakocha się w innej i odwoła ślub; żona odejdzie, bo okazało się, że, jednak małżeństwo nie jest tym, czego szukała; człowiek umiera, bo nagle wykryto mu w mózgu guza... Smutek, rozpacz, rezygnacja - takimi emocjami malowany jest świat u Levina.

Znakomity tekst Levina ginie jednak trochę w spektaklu w reżyserii Małgorzaty Warsickiej, w którym wszystkiego jest trochę za dużo. Muzyka, którą wygrywają na instrumentach perkusyjnych (w tym na zwisających z sufitu rurach) Adam Myrczek (który w dodatku śpiewa i gra kilka tajemniczych postaci), Dariusz Bury oraz Seweryn Piętka jest ciekawa, ale jednak to zbędny naddatek, niewnoszący za wiele do treści spektaklu. Dużo dzieje się w warstwie wizualnej, która nie ułatwia aktorom poruszania się po scenie - muszą uważać na płot z lewej strony, krzywe podesty, wodę w zagłębieniu proscenium i leżący w niej żyrandol, który symbolizuje "odchodzący świat", ale i zawadza (widzom również). Do tego dochodzi gra jasnych światła, kontrastujących z raczej ciemnymi barwami kostiumów. Całość jest więc dość ekspresjonistyczna i miejscami trochę pretensjonalna. Ale trzeba przyznać, że twórcy potrafili kreować nieoczywiste, jakby wysnzione, budzące nieokreślony niepokój (za)światy.

Spektakl natomiast jest dobry aktorsko, choć nie Piotr Gajos jako Krum się wybija (ale gra poprawnie, nie ociężale), ale raczej role drugoplanowe. Świetny jest Przemysław Kosiński jako Tugatti, którego oczami oglądamy - przynajmniej na początku - przybycie Kruma do znanego świata. Jego postać reżyserka usytuowała niejako na granicy światów - żywych i martwych, zaś granicę tę znamionuje sadzawka z wodą, w której Tugatti brodzi. W niej też zakończy swój żywot. W jego osobie ogniskują się wszystkie strachy człowieka - tak bardzo, że właściwie człowieczeństwo Tugattiego jest karykaturalne, śmieszne i właściwie najbardziej tragiczne.

"Krum" w Teatrze Polskim w Bielsku Białej: dla takiej bohaterki każdy może stracić głowę

Niesamowite są sceny z udziałem Anity Janci-Prokopowicz, która emanuje pociągającym erotyzmem przechadzając się władczo po scenie. Dla takiej bohaterki - niezależnej, pewnej siebie obywatelki świata Cicy - każdy może stracić głowę. Warto zauważyć też Mateusza Wojtasińskiego w roli Bertolda, którego pojawianie się zwiastuje trochę oddechu, dodaje spektaklowi lekkości.

Interesująca jest kreacja Marty Gzowskiej-Sawickiej jako Dupy - aktorka gra tu niewidomą kobietę, a taki zabieg dyktuje zupełnie odmienny rodzaj poruszania się jej po scenie, innego, pełniejszego, bardziej organicznego grania "ciałem" i mocniejszego wyrażania emocji, a ma ich tu do pokazania wiele. Pejzaż ten dopełniają role Oriany Soiki jako pragnącej ustatkować swoje życie, nieszczęśliwej i zagubionej Trudy oraz Jadwigi Grygierczyk w roli matki - zrezygnowanej kobiety, która już nie zazna radości w tym życiu.

NAJCZĘŚCIEJ CZYTANE

